

Żywot Łazika z Tormesu

przekład
Maurycy Mann

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2023

Przedmowa autora

Uważam za rzecz słuszną, aby zdarzenia tak niezwykle, a przy tym nigdy zapewne niesłyszane ani oglądane, doszły do wiadomości ogółu zamiast ginąć w grobie zapomnienia. Być może, iż ktoś, czytając je, coś sobie w nich upodoba, a zwłaszcza ten, co w rozrywce nie doszukuje się głębszej myśli. Pliniusz mówi z tego powodu, że nie ma książki, chociażby najgorsza była, w której nie znalazłoby się coś dobrego; tym bardziej że nie wszyscy mają jednakowe upodobania: „Czego jeden nie jada, za tym drugi przepada”. Tak więc widzimy, że co jedni lekceważą, na tym inni potrafią się poznać. I oto czemu nie powinno się niszczyć ani odrzucać niczego, o ile tylko nie nazbyt jest wstrętne. Przeciwnie, wszystko trzeba poznawać, zwłaszcza gdy to nikomu nie uczyni szkody, a nawet pozwoli wyciągnąć jakąś korzyść.

Gdyby się tak nie działo, mało kto zechciałby pisać dla jednego tylko człowieka, ponieważ tego nie robi się bez pracy. Pisarze domagają się wynagrodzenia, lecz nie w pieniądzu. Oni pragną, by dzieła ich przeglądano i czytano, a gdy będzie za co – chwalono. Tuliusz mówi z tego powodu: „Pragnienie sławy stwarza sztukę”. Któż pomyśli, że żołnierzowi, który rwie

się do pierwszego szeregu, najbardziej sprzykrzyło się życie? Z pewnością nie. To żądza sławy pobudza go do narażania się na śmierć. To samo dzieje się w dziedzinie nauk i sztuk. Kaznodzieja świetnie mówi kazanie, a jest to człowiek, co nade wszystko troszczy się o zbawienie dusz. Ale spytajcie jego wielbność, czy niemilo mu usłyszeć: „Jakaż wspaniałą mowę wygłosił wasza wielbność!”. Imćpan Fuszerski podle robił bronią, a podarował błaznowi kurtę do szermierki za to tylko, że pochwalił kilka jego zręcznych pchnięć. Cóż by on uczynił, gdyby to było prawdą? I tak we wszystkim.

Dlatego wyznając, że nie jestem świętobliwszy od moich bliźnich, wcale nie udam zasmuconego, jeżeli kto zwróci uwagę na mą drobnostkę napisaną pospolitym stylem. Przeciwnie, ucieszę się, gdy praca moja zabawi tych, co znajdują w niej coś ładnego i dowiedzą się z niej, że żył na świecie człowiek, który przeszedł tyle przygód, niebezpieczeństw i przeciwności losu.

Upraszam was, łaskawi państwo, przyjmijcie skromną pracę z rąk tego, co chętnie uczyniłby ją cenniejszą, gdyby zdolności jego odpowiadały pragnieniom. A ponieważ życzycie sobie, abym drobiazgowo opisał i wyłożył całą historię, przeto wydało mi się słuszne rozpocząć ją nie ze środka, lecz od samego początku. Dzięki temu poznacie całkowicie moją osobistość, a zarazem ci, co odziedziczyli zaszczytne stanowiska, zastanowią się nad tym, jak mało oni sobie zawdzięczają. Wszak to szczęście im sprzyjało. O ileż więcej działali ci, co mimo przeciwności losu, dzięki własnym siłom i zdolnościom zawinęli do zacisznej przystani.

Rozdział pierwszy
Łazarz opowiada o swoim życiu, a najpierw
czyim był synem

Przed wszystkim dowiedzcie się państwo, że nazywam się Łazarz z Tormes, a jestem synem Tomasza Gonzalesa i Antonii Perez, pochodzących z Tejares, tuż pod Salamanką. Narodziny moje odbyły się na rzece Tormes*, od której też otrzymałem przezwisko. A stało się to tak:

Ojciec mój – świeć, Panie, nad jego duszą – przeszło piętnaście lat był młynarzem i dozorcą mlewa w młynie wodnym, który stoi na brzegu tej rzeki. I oto pewnej nocy, gdy matka moja, będąc przy nadziei, znalazła się w młynie, nagle chwyciły ją bóle i tam też wydała mnie na świat. Toteż słusznie mogę twierdzić, że urodziłem się na rzece.

Gdy byłem chłopcem lat ośmiu, ojca mego posadzono o kilka dziur niezręcznie wyciętych w workach przywiezionych do młyna. Uwięziony z tego powodu,

* Tłumacz zdaje sobie sprawę, że tytuł poprawniej brzmiałby: *Żywot Łazika znad Tormesu*, lecz tę nieścisłość rozmyślnie popelnia sam autor, zaznaczając, że chłopiec urodził się nie na brzegu, lecz na samej rzece (*dentro del rio, en el rio*). Zapewne miał na myśli młyn wchodzący głębiej w koryto rzeki lub nawet pływający na niej, jak to dziś jeszcze widzieć można na przykład na Dunaju.

przyznał się do wszystkiego, nic nie zataił i dla sprawiedliwości wycierpiał prześladowanie. Spodziewam się, że przebywa w królestwie niebieskim, albowiem Ewangelia nazywa błogosławionymi tych, co cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości.

W tym czasie podjęto wyprawę przeciw Maurom. Wziął w niej udział i ojciec mój, który wówczas znajdował się na wygnaniu skutkiem wspomnianego wypadku. Wstąpił do wojska jako pachołek pewnego ryccerza i razem ze swym panem poległ, jak na wiernego sługę przystało.

Matka moja, wdowa, widząc się bez męża i bez dachu nad głową, postanowiła zwrócić się do dobrych ludzi, aby żyć wśród nich, i w tym celu przybyła do miasta. Najęła tam domek i zaczęła gotować strawę kilku studentom oraz prać bieliznę kilku stajennym komandora Magdaleny. Wskutek tego, często bywając w stajniach, poznała pewnego Maura, z tych, co to leczą zwierzęta. Zdarzało się, że ten Maur przychodził do nas wieczorem i zostawał do rana, czasem i za dnia zbliżał się do drzwi pod pozorem kupna jaj i wstępował do domu. Z początku nie cierpiałem jego odwiedzin, bałem się go, widząc jego brzydotę i barwę skóry. Lecz skoro spostrzegłem, że z jego przybyciem poprawia się nasze pożywienie, zacząłem pragnąć tych odwiedzin, bo on zawsze przynosił ze sobą chleb, kawały mięsa, a w zimie i drzewo, przy którym grzaliśmy się. Przy dalszym z nim pożyciu matka obdarzyła mnie milutkim Murzynkiem, którego huštałem i pomagałem niańczyć.

Pamiętam, gdy pewnego razu mój czarny ojczym zaczął bawić się z dzieckiem, malec, zobaczywszy, że ja i matka jesteśmy biali, a ojciec jego nie, skoczył ze strachem do matki i pokazując nań palcem, rzekł: „Mamo, kominiarz!”*. On zaś, śmiejąc się, odpowiedział: „Ty synu ladacznicy!”. Choć byłem wówczas całkiem mały, zauważyłem jednak słowa mego braciszka i rzekłem sobie: „Iluż to musi być na świecie ludzi, którzy unikają innych dlatego, że nie widzą samych siebie”.

Los tak zrządził, że słuchy o stosunku Zaida (tak się nazywał) doszły do uszu zarządcy; przeprowadzone śledztwo wykazało, że on kradł połowę owsa wydawanego dla koni, otręby, drzewo, zgrzebla, fartuchy, worki na paszę, końskie derki gdzieś się zapodziały; gdy już nic nie zostało, począł rozkuwać konie – i wszystko to szło do matki na wyżywienie mego braciszka.

Nie trzeba dziwić się księdzu ani mnichowi, że jeden wyludza od ubogich, a drugi ciągnie z klasztoru dla swych dewotek i na inne potrzeby, jeżeli miłość skłoniła do tego nawet biednego niewolnika. Dowiedziono mu wszystkiego, co rzekłem, a nawet więcej, bo kiedy zaczęto mnie badać i grozić mi, opowiadałem jak dziecko i ze strachu wydałem wszystko, aż do wiadomych podków, które z rozkazu matki sprzedałem pewnemu kowalowi. Nieszczęsnego ojczyma ukarano chłostą; matce zaś wymierzono sto zwyczajowych różeg, a nadto

* *Kominiarz!* – w oryginale *Coco*, wyraz oznaczający postać fantastyczną, którą straszono dzieci.

ogłoszono wyrok, aby nie ważyła się wchodzić do domu rzeźzonego komandora ani też u siebie przyjmować ukaranego Zaida.

Żeby nie dolewać oliwy do ognia*, biedna matka mężnie poddała się wyrokowi. Chcąc uniknąć niebezpieczeństwa i usunąć się od złych języków, zgodziła się do obsługi przejezdnych w gospodzie „Pod Słońcem”. I tutaj, wśród tysiąca niewygód, wychowywała mego braciszka, dopóki nie nauczył się chodzić. Ja byłem już sporym wyrostkiem i biegałem dla gości po wino, świece i po cokolwiek mnie posłali.

W tym czasie zatrzymał się w gospodzie pewien niewidomy, który rozumiejąc, że nadałbym się dlań na przewodnika, wyprosił mnie od matki. Matka oddała mnie, mówiąc, że jestem synem czciwego człowieka, który w obronie prawdziwej wiary poległ w bitwie z Maurami, ona zaś ma w Bogu nadzieję, że niewidomy będzie dla mnie nie gorszy od ojca; prosiła go, żeby się ze mną dobrze obchodził i opiekował, bo jestem sierotą. Ślepy odpowiedział, że tak właśnie postąpi i że mnie bierze nie jako pacholka, ale jak syna. I tak rozpocząłem służbę u mego nowego pana, który był już starym dziadem.

Po kilku dniach pobytu w Salamance pan mój zauważył, że jego zarobki są niedostateczne, i postanowił stąd pójść. Przed odejściem pobiegłem pożegnać

* *Żeby nie dolewać oliwy do ognia...* – przysłowie użyte w oryginale brzmi: żeby nie rzucać sznura za kociółkiem (przy czerpaniu wody ze studni).